

- Autor: **Skulska Wilhelmina**
- Tytuł: **O włos od prawdy**
- Wydawnictwo: Iskry
- Seria: Klub Srebrnego Klucza
- Rok wydania: 1985
- Nakład:
- Recenzent: [Grzegorz Cielecki](#)

LINK Recenzja Ewy Helleńskiej



Pieprzyć Genewę i wyjechać w Koszalińskie na łososia

Po powieść Wilhelminy Skulskiej sięgnąłem nieprzypadkowo. Po tym jak udało mi się wreszcie obejrzeć niezwykle rzadko emitowany film „Autobus odjeżdża 6.20” z Aleksandra Ślaską w roli głównej, gdzie współautorem scenariusza była właśnie Skulska, stało się jasne, że trzeba bliżej się przyjrzeć dorobkowi książkowemu Skulskiej. Sięgnąłem po książkę „O włos od prawdy”, by z dużym trudem przebrnąć przez 288 stron. Ale jest kilka powodów, dla których warto było.

Byłem ciekaw, czy Skulska w swoich książkach, podobnie jak w scenariuszach opiewa postaci silnych i ambitnych kobiet. Przypomnijmy, że w „Autobusie” bohaterka odstawia na bok ścieżkę kariery w branży fryzjerskiej i wyjeżdża do Stalinogrodu, by tam szkolić się na spawaczkę. Tu warto wspomnieć, że po kilkunastu latach od wspomnianego filmu Skulska napisała scenariusz serialu „Doktor Ewa”. Tu też mamy silną kobietę (w tej roli Ewa Wiśniewska – lekarza działającego na trudnej prowincji).

Skulska napisała trzy kryminały milicyjne i kilka beletryzowanych reportaży sądowych. Sięgnąłem, jak się okazało, po drugą z powieści - „O włos od prawdy” (1989). Niestety głównym bohaterem jest wdowiec wychowujący dorastającego syna – inspektor Zbigniew Rogosz. Nie brakuje za to kobiet w drugim planie. Śledztwo zaś polega na ustaleniu, kto mianowicie i dlaczego dosypał arseniku do zupy dyrektora Gessinga, dyrektora z „Chemonexu”.

Jałem się wgrzyzać w liczącą 288 stron fabułę. Książkę można by skrócić o połowę, a zdecydowanie zyskałaby na dynamice, a tak akcja rwie się i rozsypuje tuż po przydługim, bo liczącym z 50 stron prologu – w tym to dopiero momencie śledztwo zostaje przydzielone Rogoszowi, specowi z Komendy Głównej. Stan fizyczny egzemplarza znakomicie korespondował z konstrukcją dzieła. Książka była w kilku częściach, a w czasie lektury odklejały się i wypadały kolejne kartki. Gdy dobrnąłem z ulgą do końca miałem już plik luźnych kartek i

okładkę. Fatalny klej stosowało wydawnictwo Iskry w połowie lat 80-tych. Zapewne był to produkt wybrakowany. A może ktoś wziął łapówkę by zastosować taki szajs. „O włos od prawdy” traktuje bowiem przede wszystkim o hydrze łapówkarstwa. Problem wiecznie żywy i w tym sensie omawiany kryminał milicyjny w ogóle się nie zestarzał. Oto denat Gessing był uwikłany w rozmaite kontrakty i decyzje, gdzie pod naciskiem zachodnich kontrahentów przyjmował korzyści majątkowe. Jako przedstawiciel „Chemonexu” eksportował głównie cement i worki do niego, a importował co popadnie. Rozmaite procesy formalno-biurokratyczne są tu tak drobiazgowo opisane, że nie raz i nie dwa miałem wrażenie, że czytam sprawozdanie księgowo, a nie powieść kryminalną. Przyjrzymy się menu denata. Krytycznego dnia dyrektor spożył zupę cebulową, a na drugie połędwicę z jarzynami i surówką. Słowem obiad jak marzenie. Sam ostatnio miałem szczęście spożywać znakomite połędwiczki przyrządzone przez Mamę Klubowicza Remigiusza Kociołka. Obiad smakował podwójnie świetnie, gdyż byliśmy świeżo po wykopaniu dwóch dołów metrowej głębokości. Wprawdzie nie po to, by kogoś zakopać, a pod przyszłoroczne krzewy winogron na działce Klubowicza Kociołka w Gąsiorowie, ale zawsze.

Posiłek dla Gessinga szykowała oczywiście gosposia i to ona jest główną podejrzaną. Pozostaje jeszcze oczywiście żona dyrektora. Na marginesie, gosposia jest stałym elementem powieści milicyjnej. Chyba więcej było gospoś w kryminałach niż w prawdziwej PRL-wskiej rzeczywistości. Powody tej dosyć sztucznej postaci w gatunku milicyjnym są dwa. Pierwszy, to poszerzenie naturalnego pola podejrzanych, drugi zaś to tęsknota za wielkim światem kryminału anglosaskiego, gdzie roi się od lokai, ogrodników, kamerdynerów, mamek i gospoś. Tu podejrzanym może być także kierowca dyrektora, który jak się okazało, ma zszarganą przeszłość, gdyż siedział za odsprzedanie zagranicznych opon od służbowego wozu badyłarzowi.

Dyrektor, jako szanowany przedstawiciel kadry kierowniczej wysokiego szczebla często stołował się na mieście. Odwiedzał m.in. bar Hotelu Europejskiego (działające tu nowe bary odwiedziliśmy klubowo podczas Nocy Muzeów 2008), restaurację „Rycerska” (tu był łaskaw zjeść niedługo przed śmiercią karpia po żydowsku i popić pięćdziesiątką – niestety nie znamy nazwy trunku).

W toku śledztwa Rogosz odwiedza lokal „Gwiazdeczka” (byliśmy tu podczas Klubbingu Śródmiejskiego 2006). Znakiem rozpoznawczym dla interlokutora ma być leżący na stoliku numer pisma „Niewidomy Spółdzielca” (jest taki miesięcznik!!!). Na rynku zresztą roi się od różnego rodzaju periodyków branżowych, o których mało kto słyszał. Sam pisuję w „Przeglądzie Mleczarskim”, o którym to piśmie wcześniej nie słyszałem, ale godzi się przypomnieć, że wzmiankę o „Przeglądzie Mleczarskim” wytropił kiedyś Klubowicz Bartosz Brzózka w powieści Karola Rudniewskiego „Czy pani wierzy w duchy” (patrz. Recenzja).

Z kolei import dźwigów do wind był łaskaw omawiać dyrektor Gessing z restauracji „Kuźnia” w Wilanowie. Lokal był bardzo chwalony przez kontrahenta z Amsterdamu: „Jedzenie było typowo polskie: barszcz, bigos i dużo wódki”.

Inspektor Rogosz spieszy się ze śledztwem. Staje na głowie, by dokończyć je w sześć tygodni, bo tylko wówczas będzie mógł wyjechać do Paryża na sympozjum poświęcone walce z

handlem narkotykami. Oczywiście wyjazd ważny jest przede wszystkim dlatego, że daje szansę nabycia za dewizy wiązań do nart, który to nieosiągalny produkt obiecał swemu 18-letniemu synowi. Czy uda mu się na czas rozwiązać sprawę oznaczoną w dokumentacji numerem 6578/82? Dowiadujemy się, że Rogosz jest dociekliwy, samotny (jak już informowaliśmy wdowiec), pilnie uczy się języka angielskiego, wygląda na 40-45 lat, jest przystojny, nie pije. Mimo codziennych kontaktów z patologią zachował elegancję i delikatność. Dość powiedzieć, że nie znosił pieprznych kawałów o kobietach. Po tym, jak pokazano u nas słynny serial z Simonem Templarem inspektora Rogosza zaczęto nazywać „Świętym”.

W książce wspomina się o filmie „Vabank”, zespole „Dwa plus Jeden” oraz autobusie pospiesznym linii „F” (jeździł z Woli do Międzylesia). Od lat po Warszawie już nie kursują autobusy oznaczane literami. Mamy także wzmiankę o linii 114 (nadal w rozkładzie, ale jeździ zupełnie inaczej niż kiedyś). Autorce nie brakuje odwagi w kreśleniu epizodycznych wątków obyczajowych. Oto jeden z podwładnych Rogosza służbowo zadaje się z kelnerką z „Gwiazdeczki”, po czym tak referuje:

“- Skonsumowana. - pochwalił się Paweł. (...) Zabrałem ją na chatę. Wino, słodycze. Bardzo jest dobra!” (str. 185).

Milicjant Paweł nie zamierza jednak podtrzymywać intymnej znajomości: „Jeżeli idzie ze mną, będzie się kładła z innymi” - konkluduje. Czemu tak myśli ten młody stróż prawa? A może kelnerka z „Gwiazdeczki” zapalała wielką, prawdziwą i nieskazitelną miłością? Tego się niestety nie dowiadujemy, gdyż wątek zanika.

Mało pochlebnie wspomina się o ginekologach: „Podobno wszyscy ginekolodzy są tacy sami. Kaci na baby. Aż dziw bierze, bo i tak każda się przed nimi rozkłada” (str. 175).

Możemy natomiast pozazdrościć urzędnikowi punktu granicznego w Słubicach, który „został zamordowany przez młodą, niebrzydką kobietę”. Zapewne niebrzydka musi być także sekretarka z komendy, Janka. Zagina ona niepostrzeżenie parol na Rogosza. Mieszkała w kawalerce na Stegnach. Tu miała nastąpić kolacja we troje, bowiem syn Rogosza wracał z wakacyjnego wyjazdu. Jednak postanowił przed spotkaniem z tatusiem pożegnać się ze swoim towarzystwem i w tym celu odwiedził lokal „Jaś i Małgosia” (tak jest!!!) u zbiegu Al. Jana Pawła II i Anielewicza. Lokal ten stoi po dziś dzień i działa. PRL-em czuć na odległość. „Jasia i Małgosię” odwiedzaliśmy wielokrotnie (m.in. Promocja Pierwszej Sety 2005, Klubbing Wolski 2008). Lokal ten poza niepowtarzalną aurą ma jeszcze jedną zaletę, znajduje się z 300 metrów od mojego miejsca zamieszkania. W dodatku dziewczyna syna Rogosza mieszka gdzieś tuż obok „Jasia i Małgosi”. Kto wie, może w tym samym budynku co ja?

Syn Rogosza ma ochotę na to by wreszcie ojciec spędził z nim trochę czasu i tak mówi do inspektora: „Weź urlop. Pieprznij tę całą Genewę. Pojedziemy w koszalińskie na łososia”.

„O włos od prawdy” to dzieło zdecydowanie dygresyjne, podobna zatem jest i recenzja. Stąd wrażenie chaosu. Jako kryminał rzecz wtórna, rozwlekła i mętna, ale jest tyle pobocznych smaczków, a już w szczególności wzmianka o „Jasiu i Małgosi”, jednej z ostatnich już prawdziwie PRL-owskich knajp w Warszawie, że wybaczam wszystko.

